



WŚRÓD LODÓW POLARNYCH

Juliusz Verne

Juliusz Verne

Wśród lodów polarnych

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Juliusz Verne
„Wśród lodów polarnych”

Copyright © by Juliusz Verne, 1932
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: „Floryda” Warszawa
Wydawnictwo: Księgarnia J. Przeworskiego
Warszawa, 1932

ISBN: 978-83-8119-355-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I. Inwentarz Doktora.

Wzorem wielu odważnych poprzedników, kapitan floty angielskiej Hatteras, wyruszył na swoim brygu „Forward” celem odkrycia bieguna północnego, pragnąc aby zaszczyt ten spotkał ojczyznę jego, Anglię.

Napróżno jednak walczył dzielny marynarz przez dziewięć miesięcy, z burzami, prądami i lodowcami, napróżno nadludzkie czynił wysiłki, ulepszając prace swoich poprzedników. Kiedy bowiem z brygiem swoim dotarł po za krańce znanych już mórz podbiegunowych i pracę swoją do połowy wykonał, jeden wypadek zniweczył jego nadludzkie wysiłki.

Oddalony o 2500 mil od brzegów ojczystych „Forward” padł ofiarą zbuntowanej załogi i kapitan, wraz z czterema najlepszymi ludźmi, pozostałymi z osiemnastu, znalazł się wśród lodów, bez środków pomocniczych i ratunkowych. Nie stracił on jednak nadzieji i odwagi.

Resztki dymiące brygu, który zbrodnicza ręka wysadziła w powietrze, rozrzucone były po polu lodowem, kadłub zaś był wciśnięty pomiędzy bryły lodowe.

Nie bacząc na straszną katastrofę, kapitan Hatteras zebrawszy w około siebie małą gromadkę dzielnych towarzyszków. — Dra Clawbonny, sternika Johnsona i cieślę Bella — przemówił do nich z wiarą i zapałem, oświadczając, że bądź co bądź, przedsięwzięcie ich udać się musi.

Po obejrzeniu resztek pozostałych po wysadzonym brygu,

doktor Clawbonny stwierdził, że kosztowne jego narzędzia, zbiory i książki uległy zupełnemu zniszczeniu. Kiedy zamyślił się on nad ogromem poniesionych a niepowetowanych strat, podszedł doń sternik Johnson, na którego rękach widniały jeszcze ślady walki, jaką stoczył ze zbuntowaną załogą statku.

Doktor podał mu rękę i począł pocieszać go, zachęcając do wytrwałości i odwagi.

— I ja bardzo żałuję naszego statku, do którego przywiązaliśmy się wszyscy, — mówił doktor.

— Ktoby przypuszczał doktorze, że to zbiorowisko belek desek i żelaza stanie się dla nas tak drogiem?

— A co się stało z szalupą Johnsonie?

— Ocalała, doktorze lecz Shandon i reszta buntowników zabrali ją ze sobą.

— A pirog?

— Oto szczątki z niego doktorze, patrz pan na tą kupę rumowisk.

— Pozostaje nam więc tylko czółno, które zabraliśmy na wycieczkę.

— Co się stało z saniami, którymi wyruszyliście na wycieczkę? — pytał Johnson.

— Pozostawiliśmy je o milę stąd. Simpson który z nami wyruszył, zmarł w drodze, zamiast niego przywieźliśmy jednak innego, człowieka, którego znaleźliśmy umierającego. Jest nim kapitan Altamont, amerykańnik.

Tymczasem kapitan Hatteras stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, milczący i zamyślony. Na twarzy jego malowała się jednak dawna energja.

Johnson, jak gdyby nie zwracając uwagi na kapitana, zaczął wydawać rozporządzenia.

— Doktorze, zechciej udać się do sań i sprowadź je tu wraz z chorym. Kapitanie, czy zechce pan towarzyszyć doktorowi?

— Pragnę zastanowić się nad tem, co dalej czynić mamy, musimy jaknajprędzej zdecydować coś stanowczego, pozwólcie mi zastanowić się, sami tymczasem, czyńcie co za stosowne uznacie.

Doktór poprawił na sobie odzież, wziął do rąk okuty kij podróżny i ruszył w stronę, gdzie pozostawił sanie.

Tymczasem Johnson i cieśla Bell zabrali się do przygotowania schroniska, które wyrąbywali w grubym lodzie. Niezadługo pracowali już w wydrążeniu, wyrzucając zeń bryły lodu.

Kapitan kilkakrotnie chciał zbliżyć się do miejsca katastrofy z brygiem, lecz za każdym razem wracał się; zdawało się, że jakaś obawa odpycha go od resztek jego statku.

Nie upłynęło i godziny gdy powrócił z saniami doktor, wioząc na nich owiniętego w płótno namiotu, chorego Altamonta. — Wygłodzone psy ledwie powłóczyły nogami, należało coprędzej dać im pożywienie, i wypoczynek, co również należało się ludziom.

Po upływie trzech godzin domek z lodu był gotów; wstawiono weń mały piecyk żelazny, który doktor znalazł w rumowiskach, prawie, że nieuszkodzony i wkrótce przyjemne ciepło napełniło schronisko nieszczęśliwych rozbitków.

W głębi domku, na kołdrach ułożono chorego Altamonta, zaś czterej anglicy zajęli miejsca około piecyka, posilając się sucharami i pijąc herbatę. Były to resztki prowiantów

znajdujących się w saniach.

Kapitan ciągle był milczący, towarzysze zaś jego szanowali to milczenie. Po skończonym posiłku doktor wyprowadził Johnsona i zaproponował mu aby niezwłocznie pozbierać resztki rzeczy z brygu, które mogły się na coś przydać. Przedewszystkiem zaś proponował zbierać żywność i drzewo, jako rzeczy najpotrzebniejsze.

Drzewa było wiele, za to żywności zebrano bardzo mało. Wszędzie przeważała wielka ilość żelaznych części maszyn okuć i blach. Wybuch był tak gwałtowny, że wszystko prawie, było podruzgotane i spalone. Zapasy spiżarniane uległy przeważnie zniszczeniu, znajdowały się bowiem w bliskości prochowni.

Doktor, czyniąc dalsze poszukiwania, znalazł resztki pemikanu, około 15 funtów, 4 dzbany, zawierające 5 — 6 kwart wódki, oraz 2 paczki chrzanu, który mógł zastąpić utracony sok cytrynowy, używany z pomyślnym skutkiem przeciw skorbutowi. Po upływie dwóch godzin doktor i Johnson zeszli się razem, komunikując sobie wzajemnie szczegóły dotyczące znalezionych przedmiotów. Artykułów żywnościowych odszukano niestety bardzo mało, znalazło się zaledwie trochę suszonego mięsa, około 50 funtów pemikanu, 3 worki sucharów, trochę czekolady, niewiele wódki i dwa funty kawy. Nie znaleziono natomiast śladów kołder, hamaków i odzieży, widocznie spaliły się zupełnie.

Po dokładnem obliczeniu okazało się, że znalezione zapasy wystarczą zalewie na trzy tygodnie, i to przy skromnych porcjach codziennych.

Opału starczy nam także na trzy tygodnie, ale co będzie później? — zapytał Johnson.

— Później niech się dzieje wola Boska!

Niezadługo obaj powrócili do sań i psów, a zaprzągłszy je, zwieźli znalezione zapasy, poczem nawpół przemarzli zajęli miejsca obok piecyka.



II.

Odezwanie się Altamonta.

Była prawie 8 wieczorem, niebo oczyściło się z mgły i zajaśniały na firmamencie gwiazdy, mróz był silny.

Kapitan, nie rzekłszy słowa, wyszedł zabrawszy ze sobą narzędzia potrzebne do ustalenia wysokości niektórych gwiazd, chciał on przekonać się, czy pole lodowe, na którym znajdowaliśmy się, nie poruszyło się z miejsca.

Po upływie pół godziny powrócił i umieścił się w kącie domku,

zachowując głębokie milczenie.

Podczas całego dnia nie można było wyjść na powietrze. Śnieg padał bez przerwy. Piecyk oddawał nieocenione usługi, służył on także do przygotowania herbaty lub kawy, które przy tej niskiej temperaturze wywierały wpływ zbawienny.

Chory amerykańcin cierpiał mniej i widocznie powracał do życia, otwierał już oczy, lecz nie mówił jeszcze; na jego ustach były ślady szkorbutu i dla tego też nie mógł mówić.

Ponieważ słyszał dobrze zakomunikowano mu jego położenie. Poruszał tylko głową na znak podziękowania za ocalenie mu życia.

Okolo południa ocknął się Hatteras z zadumy i zbliżywszy się do towarzyszy, prosił Johnsona aby opowiedział w jakich okolicznościach dokonana została zdrada.

Owszem kapitanie, opowiem jak się to stało. Zaraz po pańskim wyjeździe, porucznik Shandon, zachęcony przez całą zgraję, objął dowództwo okrętu. Cóż znaczył protest jednego człowieka? Od tej chwili każdy robił, co mu się podobało i Shandon temu się nie sprzeciwiał, zależało mu bowiem na tem, ażeby przekonać załogę, iż minął czas pracy i ograniczeń.

Niczego odtąd nie oszczędzano; w piecu palono bezustannie, prowiantami i trunkami rozporządzał się każdy dowolnie i łatwo może pan sobie wyobrazić, jak zwłaszcza tych ostatnich nadużywali ludzie oddawna trunku spragnieni.

Trwało to od 7 do 15 stycznia.

W dniu 24 czy też 25 postanowiono opuścić okręt i dotrzeć do zachodniego wybrzeża zatoki Baffińskiej, a stamtąd na szalupie odszukać wielorybników, lub wylądować w osadach

grenlandzkich na wschodnim wybrzeżu.

Żywności mieli zapas dostateczny; rozpoczęto więc przygotowania do porzucenia brygu i ucieczki. W tym celu zbudowano sanie, na które naładować miano zapasy żywności, opału oraz szalupę. Jako siła pociągowa, służyć mieli sami zbiegowie.

Przygotowania te trwały do połowy lutego. Spodziewałem się codziennie pana powrotu, kapitanie, obawiając się jednocześnie, że w razie powrotu, buntownicy zamordują pana, aby nie pozostać na okręcie. Tłumaczyłem im, że narażają się na zgubę a przy tym popełniają nikczemność.

Perswazje moje były jednak daremne!

W reszcie naładowawszy sanie i szalupę ile się tylko dało, 22 lutego ruszyli na wschód. Przed odejściem zrabowano statek a wreszcie kilku pijanych, z Penem na czele, podpaliło Forwarda, pobiwszy mnie, kiedy próbowałem im przeszkodzić w spełnieniu tej zbrodni.

Chciałem ratować statek, lecz zbrodniarze zamrozili krany wodne. Pożar zwiększał się tymczasem coraz bardziej, ja zaś byłem bezsilny. W ciągu dwóch dni statek spłonął doszczętnie, resztę już wiecie...

Johnson skończył opowiadanie, żaden jednak z obecnych nie odezwał się.

Po upływie pewnego czasu podniósł się Hatteras i zbliżywszy się do Johnsona podał mu rękę mówiąc:

— Dziękuję ci, Johnsonie, postąpiłeś jak prawy i szlachetny człowiek, uczyniłeś wszystko co było w twojej mocy, aby ocalić okręt, dziękuję ci raz jeszcze, jesteś zacnym człowiekiem. Teraz

radźmy co czynić dalej, niechaj każdy z was wypowie swe zdanie.

Pierwszy wystąpił Johnson, zwracając się do kapitana z pytaniem jak daleko znajduje się najbliższe wybrzeże.

— Znajdujemy się w odległości około 600 mil od cieśniny Smitha.

— Radzę więc — powiedział Bell — jak najprędzej ruszyć w tym kierunku i iść chociażby dwa miesiące.

— Żywności mamy przecież tylko na trzy tygodnie, a przytem czeka nas droga uciążliwa i nieznana — mówił kapitan.

— Kapitanie — rzekł doktor — rozumiem wartość twoich zarzutów, i wiem, że porywamy się na czyn szalony, lecz masz że inny plan?

— Żadnego planu nie mam, nie sądzę przecież aby wasz był możliwy do wykonania, w tym stanie znużenia i wyczerpania, w jakim się obecnie znajdujemy.

Wybrzeże do nas nie przyjdzie, musimy więc odszukać je, a może napotkamy jakie plemię eskimosów, z którym moglibyśmy wejść w stosunki i dostać się na wybrzeże.

— Nie wątpisz przecież, kapitanie, o naszym poświęceniu i odwadze i znasz nas, że gotowi byliśmy dzielić z tobą los wspólny aż do końca. Jednakże uważam że nateraz wyrzec się musimy myśli dotarcia do bieguna północnego. Zdrada załogi unicestwiła twoje plany, lepiej przecież wrócić do Anglii aby wykonać je później.

— Być może, — dodał Johnson, że w cieśninie spotkamy jakiś statek, zmuszony do spędzenia tam zimy.

— W razie zaś ostatecznym, mówił doktor, o ile cieśnina

będzie zamarznąta, możemy po lodzie dostać się na zachodnie wybrzeże Grenlandji aby przez przylądek York dotrzeć do osad duńskich.

— Pan Clawbonny ma rację, dodał Bell, — powinniśmy bez zwłoki puścić się w drogę!

— A więc takie jest zdanie wasze — pytał Hatteras — i twoje Johnsonie.

— Tak jest kapitanie! odpowiedzieli razem.

Hatteras zamknął oczy i milczał czas długi, zastanawiał się widocznie nad powzięciem ostatecznej decyzji; widząc to, niecierpliwy doktor, począł ponownie zwracać się do niego i tłumaczył, że przecież odległość 600 mil możliwa jest do przebycia w ciągu trzech tygodni, że przy oszczędnem zużyciu prowiantów i drzewa — wystarczą one na tak długi okres, że wreszcie niema innego punktu wyjścia nad tą podróż.

— Czy spodziewasz się czegoś kapitanie? zapytał Johnson.

— Sam nie wiem, któż z nas jednak przewidzieć może przyszłość? Zatrzymajcie się proszę, choć parę dni abyśmy pokrzepili nasze siły. Nie wytrzymacie w drodze nawet kilku dni, padniecie ze znużenia, poczekajcie choć dzień jeden!

Clawbonny już miał zamiar uleść proźbie kapitana, gdy wtem Bell począł ponownie nawoływać aby coprędzej brać się do opatrywania sań i szykowania się do drogi.

— A więc idźcie, idźcie wszyscy! Ja pozostanę tutaj z moim wiernym Dukiem! Duk! pójdź tu!

Pies, szczekając radośnie, podbiegł do swego pana.

Johnson spoglądał na doktora sądząc, że najlepiej będzie zgodzić się na jednodniową zwłokę. Clawbonny zrozumiał

spojrzenie starego marynarza i już miał wyrazić swą zgodę, gdy wtem uczuł na swem ramieniu dotknięcie obcej ręki; odwrócił się więc i spostrzegł tuż za sobą leżącego amerykańnika, który widocznie wysłuchał poprzedniej ich rozmowy, bo wydostawszy się z pod kołdry, podsunął się do doktora.

Hatteras i doktor przysunęli się do amerykańnika i wtedy dopiero usłyszeli wymówiony przezeń wyraz „Porpoise”.

— Co „Porpoise” na tych wodach? zawołał kapitan.

Amerykanin zrobił znak potwierdzający.

— Na północ ztąd?

— Tak.

— Czy wiesz miejsce gdzie się znajduje?

— Wiem!

— Dokładnie?

— Tak, odpowiedział amerykańnik.

Po krótkim milczeniu, Hatteras zwrócił się do amerykańnika z prośbą o wskazanie dokładne miejsca postoju jego okrętu.

— Będę wyliczał stopnie, ty zaś zatrzymaj mnie giestem we właściwym miejscu.

Altamont kiwnął głową na znak zgody.

— Rozpoczynam więc od stopni długości: 105, 106, 107. Przy 120 amerykańnik dał znak ręką. Z minutami poszło także gładko. Na 15 amerykańnik znowu dał znak.

W dalszym ciągu, przeszedłszy do szerokości geograficznej, Hatteras dowiedział się, że „Porpoise” uwięziony jest pod 120° 15 minut zachodniej długości i 83° 35 minutą północnej szerokości.

Dalsze badanie odłożyć musiano na później. Wyczerpanie

Altamonta było tak wielkie, że biedak zemdłał.

— A więc przyjaciele widzicie, że ocalenie nasze znajduje się na północy a nie gdzie indziej!

Po pierwszym wybuchu radości, kapitan zasępił się, bo oto kto inny, i to Amerykanin, wyprzedził go o trzy stopnie w kierunku do bieguna północnego.

III. Siedemnastodniowa podróż.

Wiadomości udzielone przez Amerykanina, zupełnie zmieniły położenie i plany rozbitków, którzy tak blizcy byli rozpacz.

Po przyjściu Amerykanina nieco do siebie, zabrał się doktor do ponownego badania go.

Niezadługo dowiedział się Clawbonny, że okręt Altamonta był trzymasztowcem, pochodzącym z Nowego Yorku, obficie zaopatrzone w prowianty i paliwo, rozbił się na skalistym wybrzeżu; legł na bok lecz ładunek jego ocalał w zupełności.

Amerykanin opuścił statek, wraz z załogą, składającą się z 30 ludzi przed dwoma miesiącami. Zabrawszy ze sobą 2 pary sań i szalupę zamierzali oni dotrzeć do zatoki Smitha, gdzie mieli nadzieję spotkać okręty wielorybiczne.

Znękani chorobami i trudami padali w drodze, tak, że w końcu z całej osady pozostał tylko Altamont i dwaj marynarze, wszyscy chorzy na szkorbut. Wreszcie pozostał on sam, umierający. Wtedy znalazł go Hatteras i zabrał na swoje sanie.

Amerykanin twierdził, że okręt jego wyruszył w celu odszukania drogi północno-zachodniej i, że został zapędzony

w te strony a otoczony lodami uległ rozbiciu.

A więc towarzysze, mówił kapitan, szykujmy się do drogi, zamiast szukać zatoki Baffińskiej, ruszajmy ku północy, dla odszukania statku Altamonta, znajdziemy tam wszystkiego pod dostatkiem, przezimujemy więc z łatwością. Tymczasem spieszyć się musimy, bo kto wie, czy lody nie zapędziły go dalej na północ, a przeto i podróż nasza może potrwać znacznie dłużej.

Altamont, który przysłuchiwał się tej rozmowie, dał znak, że pragnie coś powiedzieć. Objął on doktora, że „Porpoise” nie mógł żadną miarą być poruszony z miejsca gdyż leży bokiem na skałach, znajduje się przeto na pewno na tem samym miejscu, gdzie go pozostawił.

Na tem przerwano rozmowy i poczęto przygotowywać się do podróży.

Bell i Johnson zabrali się do uporządkowania sań i urządzenia na nich posłania dla Altamonta, które przykryto płótnem z namiotu. Zapasy żywności dla ludzi i psów starczyć miały na trzy tygodnie. Drzewa zabrano ile się dało.

Robota prowadzona pośpiesznie, skutkiem zmęczenia i senności pracujących musiała być przerwana. Zanim jednak rozbitki ułożyli się do snu, zebrali się koło pieca, w którym porządny rozniecono ogień. Nieco pemikanu, suchary i parę filiżanek kawy, wywołały dobry humor, do czego też w części przyczyniła się nadzieja na lepszą przyszłość.

Zrana o godzinie 7 ponownie zabrano się do roboty, którą ukończono dopiero o 3 po południu.

Mrok już zapadał, wprawdzie słońce od 31 stycznia ukazywało się, lecz słabo i krótko. Na szczęście już o godzinie 6

i pół ukazał się księżyc, którego promienie przy jasnym niebie oświetlały drogę. Temperatura, która od paru dni opadała, na koniec doszła do 37 zimna.

Nastała chwila odjazdu, Altamont cieszył się z tego pomimo, że wstrząśnienia podczas jazdy mogły go przyprawić o większy ból. Każdy zajął swe miejsce, Bell szedł naprzodzie, doktor i sternik szli po bokach sań, czuwając nad nimi i, naganając psy w miarę potrzeby, a Hatteras zamykał pochód.

Szli dość pośpiesznie. Przy niskiej temperaturze lód był mocny i gładki, psy nie nadwyrężały się, mając do ciągnięcia zaledwie 900 funtów.

Niezdługo jednak ludziom i zwierzętom zabrakło tchu, i musieli zatrzymać się dla wypoczynku.

W stronie północno - zachodniej pole lodowe przedstawiało się jako niezmierna biała, równa płaszczyna. Nie widać było żadnej wyniosłości.

Była to nieskończenie długa i jednostajna pustynia.

Takie wrażenie wyniósł doktor z widoku tej okolicy i podzielił się z nim ze swymi towarzyszami.

Panie Clawbonny, wie pan że idziemy po bardzo niebezpiecznej drodze? Coprawda można się do tego przyzwyczaić i zapomnieć o tem, lecz pomimo to lód, po którym przechodzimy, ukrywa pod sobą bezdenną przepaść.

Tak jest przyjacielu, ale nie mamy powodu obawiać się, że wpadniemy w jedną z nich bo przy mrozie 33 stopniowym moc tej białej powłoki jest tak wielka, że wytrzymać by zdołała ciężar liwepolskich składów zbożowych. Wogóle lód jest bardzo wytrzymały — 2-u calowy utrzymuje człowieka, 4 cale utrzyma

konia z jeźdźcem, 5 — armatę z zaprzęgiem, a 10 — całą armję.

W tej chwili Hatteras począł nawoływać do uwagi; mgła zwiększała się i utrudniała utrzymywanie się w kierunku prostym.

Około 8 wieczorem, wędrowcy zatrzymali się, po przejściu około 15 mil.

Rozbito namiot, napalono w piecu i po kolacji udano się na spoczynek.

W ciągu dni następnych pogoda sprzyjała naszym podróżnym, chociaż mrozy były tak silne, że rtęć zamarzała w termometrze.

Dnia 5 marca zauważył doktor dziwne zjawisko. Przy zupełnie bezchmurnem niebie, usianem gwiazdami, spadł obfity śnieg. Padał on przez 2 godziny.

Przyszła też ostatnia zmiana księżyca; przez 17 godzin panowała zupełna ciemność. Wędrowcy zmuszeni byli przywiązać się wzajemnie sznurami, aby się nie pogubić. Niemożliwem było utrzymać prosty kierunek drogi.

Dnia 16 marca, po 16 dniowym pochodzie, podróżni znajdowali się jeszcze o 100 mil od okrętu.

Na domiar ich cierpień zmniejszono im jeszcze racje żywności o czwartą część, aby tylko psy całkowitą dostały. Strzelano kilka razy do zajęcy i lisów lecz nie zabito ani jednej sztuki.

W piątek 15, spostrzegł doktor fokę, leżącą na lodzie. Zranione zwierzę chciało uciekać, lecz nie znalazłszy otworu w lodzie, zostało złapane i zabite. Był to piękny okaz, który dostarczył nie wiele mięsa, tranu zaś nikt pić nie mógł.

Skórę foki zabrano do sań.

Nazajutrz zauważono na horyzoncie góry lodowe. Były one prawdopodobnie zapowiedzią bliskości wybrzeża.

W jednej z napotkanych wyniosłości podróżni wydrążyli sobie schronisko i zanocowali.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

